



Czasopismo illustrowane dla dzieci i młodzieży
wychodzi 1., 10. i 20. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: w kraju rocznie 4 zlr., półrocznie 2 zlr., kwartalnie 1 zlr. — Z przesyłką o 15 ct. kwartalnie drożej.
W Ks. Poznańskim 8 mr., kwartalnie 2 mr. **Skład główny** w księgarni J. Leitgeb'a i Sp. w Poznaniu, ul. Wilhelmowska 1. 8.
Adres Redakcyi: Lwów, pl. Maryacki 1. 10. — **Adres Administracyi:** Lwów, ul. Grodzickich 1. 3. sklep p. Heleny Jaworskiej.

CÓRKA STAREMBERGA

opowieść historyczna

z czasów oblężenia Wiednia przez Turków

napisał

SZCZĘSNY ROGALA.

(Ciąg dalszy).

Powoli i ostrożnie posuwał się orszak hrabianki. Stary Herman idący przodem, rozglądał się uważnie, czy skąd nie grozi jakie niebezpieczeństwo jego panience, ale cicho było wokoło. Jeszcze dwie godziny drogi, a Joanna stanie w bezpiecznym miejscu.

Zbliżano się do pagórków pokrytych winnicami. Była może godzina piąta popołudniu, skwar był nie do zniesienia, a było tak cicho, że nawet listek nie drgnął, ptaszki ukryły się w gniazdkach, a w powietrzu słychać było eichy brzęk much i bąków, tylko od czasu do czasu zabrzączała zbroja żołnierzy otaczających kolasę hrabianki, lub kopyto końskie uderzyło o kamień, przydrożny.

Joanna zasunęła się w głąb kolasy, a na-

przeciw niej siedziała służebna dziewczyna. Próbowwała ona parę razy zawiązać rozmowę z panienką, ale nie otrzymawszy ani razu odpowiedzi, umilkła także.

Nagle wśród tej niezmaconej ciszy, stało się coś strasznego. Jakieś dzikie wrzaski, nieznanne zupełnie Niemcom, rozdarły naraz powietrze i równocześnie, jakby z ziemi wyrósł liczny zastęp jakichś dziwnych postaci. Byli to ludzie, ale tak straszni, że Niemcy w pierwszej chwili nie byli pewni, czy to ludzie naprawdę. Siedzieli na małych rączych konikach, ubrani byli w skórę owiec, przewróconą włosem do góry, co im dawało pozór zwierząt, a na głowach mieli jakieś spiczaste czapki. Ale najstraszniejsze były ich twarze, śniade, ogorzale, płaskie, z dziko błyszczącymi, małemi, ukośnie osadzonemi oczkami i ostrymi, białymi zębami, a taka w tych twarzach błyszczała żądza krwi i rozboju, jaka jest u pantery, gdy się rzuce na zdobycz.

Niemcy przywykli do porządnego szyku bojowego, ujrawszy tę dziez, stracili w pierwszej chwili równowagę, ale trwało to tylko oka mgnienie. W jednej chwili otoczyli kolasę

hrabianki jakby murem, zwróceniu plecami do powozu, a przodem do napastników. Wymierzyli, strzały padły, kilku napastników stoczyło się z koni, ale z krzaków wyskoczyli równocześnie nowi jeźdźcy, jak jakie złe duchy. Chwycili oni noże w zęby, szable w ręce i z okrzykiem Allah! Allah! rzucili się na orszak hrabianki. Walka była tak nierówna, że o wydobyciu się z napaści ani marzyć było można, Niemcy wiedzieli o tem, ale postanowili nie ustąpić, choćby wszyscy poledz mieli. Co gorsza, nie wiedzieli, jak walczyć z tym motłochem, który wrzeszczał, rzucał się, przyskakiwał, odskakiwał, zataczał kręgi i rozpryskał się, jak jakie zjadliwe osy lub baki. Aż tu naraz zaczęła ta czerń zarzucać na szyje walczących żołnierzy jakieś długie sznury, jakimi na stepach łowią dzikie zwierzęta, a zarzucali je tak zręcznie, że za każdym rzutem padał jakiś niemiecki żołnierz, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Cała ta walka trwała zaledwie kilka minut. Szczupła garstka obrońców hrabianki poległa co do nogi, tych zaś, na których zarzucono arkany, związane i wycofano poza pole walki.

Przez cały ten czas Joanna stała, patrząc płonącem okiem na straszną walkę, z początku zbladła, a potem chwyciła za pistolet, który wyjeżdżając włożyła za pas, wystrzeliła zeń parę razy, a gdy nie stało nabojęw, gdy widziała, że nie ma ratunku, porwała w ręce sztylet i tak czekała napadu. Ale podczas gdy ona patrzyła przed siebie, uczuła, że coś ją szarpnęło z tyłu i upadła nieprzytomna na ziemię. To jeden z napastników zarzucił jej arkan na szyję i wywlókł ją z środka walczących, a nikt nie stanął w jej obronie, bo dokoła leżały tylko martwe ciała jej towarzyszy.

Teraz czerń rzuciła się na kolosę, rozrąbała ją, szukając w niej kosztowności, a nie znalazłszy żadnej zdobyczy, porzucili na drodze wszystko, przywiązali tylko do koni pochwytyanych na arkany żołnierzy i Joannę i kazali im biedz przy sobie, a gdy oburzona hrabianka rzuciła się na ziemię i ani kroku postąpić nie chciała, zaczęto ją bić i zmuszać, aby biegła za koniem. Lecz ona położyła się na ziemi, bo wołała, aby ją konie stratowały, wołała, aby jej głowa roztrzaskała się o kamienie, aniżeli, aby ona sama dostała się do jassyru, którego tak bardzo obawiał się dla niej jej ojciec.

Wtedy wlokący ją napastnik, obawiając się, że gdy mu zginie, to straci zysk, którego się spodziewał ze sprzedaży pięknej panny, rzucił ją na konia i straszeni ci ludzie jak nie wiedzieć skąd się zjawili, tak nie wiedzieć gdzie znikli,

jakby się w ziemię zapadli, a na drodze zostało tylko kilkadziesiąt trupów ludzi i koni, połamana kolasa i krwi przelanej ślady.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



NIE UCIEKAJ!

Nie uciekaj dzionku jasny..

Tak prędko... tak szybko,

Jako goni we Wisłęce

Rybka w dal za rybką,

Bo gdy dzionku raz przeminiiesz,

Utoniesz w przeszłości...

Już nie wrócisz nigdy — nigdy

W dzisiejszej jasności.

Nie uciekaj jasny dzionku,

Cudowny poranku!

Ale dzionek goni — leci

Ciągle, bez ustanku,

Nie wstrzyma go żadna prośba

Ni żadne błaganie,

Bo czas ciągle płynie, bieży

I w biegu nie stanie.

Nie uciekaj dzionku jasny...

Powtarzasz daremnie —

Dzionek mówi — pracuj, pracuj,

Wszystko znajdziesz we mnie.

Żal i radość, plony pracy

Znajdziesz w czasie fali,

Że przemijam, niech więc darmo

Już się, nikt nie żali.

Jadwiga z Z. S.



Proski i pociechy Duńka.

(Ciąg dalszy).

— A ty myślisz, że ta maszyna rozwali mój zameczek?

— Patrz, patrz! — raptem krzyknęła Zosia — tygrys wście...

Zonia nie dokończyła słów swoich, bo w tej chwili „tygrys wściekły“ czyli krokiet, nieszczekając nawet, w szalonych podsko-



kach wpadł pomiędzy dzieci; przez chwilę jakby się wstrzymywał, wyciągnawszy przednie łapy przed siebie, a potem dał koziołka naprzód i przewróciwszy się parę razy po piasku, zaczął łapami grzebać i wyrzucać piasek na wszystkie strony. W jednej chwili wzbil się tuman piasku do góry, niby wybuch wulkanu, a w tym tumanie podskakiwali żołnierze obu armii; pies jakby umyślnie przewracał się i grzebał na placu bitwy, zburzył fortecę, której mury zaczęły padać wraz z obrońcami stojącymi na szczycie. Niby uraganem zmiecieni, runęli Sokoli i Indyanie z twierdzy, z obrońców i z napastników zrobiła się w piasku kupa gruzów. Pinez wesoły szczeknął cienkim głosem „hau, hau“ i w oczach osłupiałej dziatwy, skoczył jeszcze do morza, by pochłęptawszy wody, wyskoczyć i pogalopować dalej, zadarłszy ogona.

Duńko zerwał się i rzucił się za wrogiem zapalczywie. Dopadł go przy samym parkanie; a chwyciwszy za kark, podniósł w górę, lecz w tej chwili pińcz odwrócił mordę i ostrymi zębami chwycił Duńka za rękę.

— Puść go, puść! — zawołała Zosia, która podniósłszy się z piasku, zaczęła biedz także za Duńkiem.

Duńko psa puścił, bo w tej chwili Zosia potknawszy się, upadła, a chłopak skoczył przerażony i zaczął podnosić Zosię. Wiedział on, że takie upadnięcie dla niej mogło być bardzo niebezpiecznym.

Lecz gdy postawił ją na nogi i podniósł głowę do góry, zobaczył, że matka błąda z otwartymi rękami do niej już biegła. Bina także zbudziwszy się nareszcie, przydreptała i patrzyła przestraszona na wszystko, nie mogąc słowa przemówić.

— Czy ten pies ciebie ukąsił Duńku? — spytała matka, biorąc Zosię na ręce.

— Nie, nie — odrzekł Duńko, skłamawszy po raz pierwszy w życiu.

— Ale ukąsił mamusię, ukąsił! — zawołała Zosia.

— Nie, nie, nie ukąsił — mówił Duńko, chowając rękę poza siebie, bo teraz dopiero spostrzegł, że krew z rany na ręce kapała.

Matka poszła, dzwigając Zosię, Bina za niemi, a Duńko sam został. Został sam, popatrzył na swoją rękę i poszedł zanurzyć ją w morzu, by zmyć z niej krew kapiącą. Mył rękę, wyjmując z wody swoich dzielnych sokołów na samym dnie morza leżących. Okropnie go

ta rana zaczęła boleć, ale jeszcze bardziej bolało go serce.

Ach, dawniej... dawniej, mamusia byłaby przecież oglądała tę rękę jego, byłaby się spytała, czy się nie przestraszył, byłaby go zawołała ze sobą. A teraz.. teraz tylko Zosię zajętą, o Zosię dba, o nią się trwoży, Zosię tylko... kocha. To prawda, że matka nie mogła przypuścić, by Duńko tylko tak dla uspokojenia jej powiedział, że mu nie jest, że pies go nie ukąsił, a jednak bardzo, bardzo mu czegoś przykro było. Matka jego nawet dawniej, gdy sam jeden był tylko, nie kochała go tak bardzo, jak teraz Zosię; choć ona doprawdy jest czasem taka kapryśna, tak się złości, sama nie wie czego chce. Za cóż mamusia ją tak bardzo kocha? Przecież, gdy on będąc małym, zaczynał nieraz kaprysić, gdy był upartym trochę, mamusia zaraz go tak okropnie karała, nie patrząc na niego wcale, nie pieściła go, nie całowała.

Zosia nawet lekarstwa nie chce zażywać, rzuca czasem łyżką z lekarstwem na ziemię, a mamusia nie gniewa się na nią, tylko przymla się do niej, prosi, całuje jeszcze. Och, mamusia naprawdę Zosię sto razy lepiej kocha, a jego to już chyba wcale nie kocha teraz.

Tak myślał Duńko, a owinawszy wreszcie rękę chustką, pozbiierał żołnierzy, poukładał ich w pudełkach i poszedł do swego pokoju. Tam usiadł cichutko na sofie i wybrał jedną z książek leżących na stoliku i zaczął ją czytać, były to dzieje Polski. Tak zastał go Henio, który przybiegł zmartwiony bardzo; nie wiedział, co się stało, a dopiero przed chwilą Bina mu opowiedziała o całym zdarzeniu.

— Bitwa skończyła się rozlewem krwi — rzekł, oglądając ranę Duńka.

— A krokiet pobił dwie armie, zburzył twierdzę i został zwycięzcą — dodał Duńko.

— Ale my się musimy na nim pomścić, on musi zginąć.

— Et, głupstwo! przecież psa głupiego zabijać nie będziemy.

— To prawda — zawołał Henio — lepiej zostawić męstwo na lepsze czasy, mówią, że wojna będzie.

— Ale my do wojny nie dorośli jeszcze.

Zofia ze Strzetelskich Grynbergowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



PIOTRUŚ

komedyjka wakacyjna w jednej odsłonie

napisal

Bolesławicz.

(Ciąg dalszy).

PAULINKA (*z uśmiechem*) To będzie na Piotrusia trochę za duży.

ZYGMUŚ. Nic nie szkodzi. On lubi rzeczy wygodne. Dajcie mu surdut ojca.

NATALKA. Więć chodź Pawełku, zaniesiesz mu go. (*Natalka i Pawełek wychodzą*).

ZYGMUŚ. Dobrze się zaczyna.

TOMCIO. Żeby się tylko na tem skończyło.

PAULINKA. Pokazuje się, że Piotrusia nie można puszczać samego.

ZYGMUŚ. Aha, myślisz, że go potrafisz utrzymać?

PAULINKA. Jeżeli wszyscy zwrócimy na niego uwagę, to utrzymamy.

(*Wchodzi Piotruś, Natalka i Pawełek. Piotruś wygląda bardzo komicznie, w jednym bucie z cholewą i w długim, obszernym surducie. Na jego widok wszyscy się śmieją*).

PIOTRUŚ. Śmiećcie się, śmiećcie, bo istotnie jest z czego śmiać się serdecznie! Ale to nie! Sam sobie jestem winien. Za blisko trochę podszedłem do psa. Nie powinienem się zbliżać do niego. Ale pies jest śliczny!

PAULINKA. Doprawdy, przykro mi i śmiać się muszę, patrząc na ciebie!

PIOTRUŚ. Przykro ci? — A to czego?

PAULINKA. Musiałeś się okropnie przestraszyć.

PIOTRUŚ. To prawda, przestraszyłem się trochę.

ZYGMUŚ. Stawiam wniosek, aby Piotrusia nie wypuszczać samego.

PIOTRUŚ. Możecie, możecie wypuszczać. Ja teraz będę ostrożniejszy. Ach, co tu za życie! (*gestykuluje rękami*) Co za powietrze! Tu inne niebo, inny świat! Serce się raduje, gdy oczy patrzą na te koniki, krówki i cielątka! Tutaj żyć, tutaj umierać!

TOMCIO. Mój Piotrusiu, mówisz poważnie, a wyglądasz okropnie komicznie! Daj pokój. Usiądź sobie w ciemnym kącie i nie mów, a przynajmniej nie rozkładaj długimi rękawami, jeżeli nie chcesz, abyśmy popękali ze śmiechu.

PIOTRUŚ. Dobrze ci mówić usiądź — kiedy ja siedzieć nie mogę!

PAULINKA. Będziesz miał zajęcie. Podaję podwieczorek. Wszyscy więc zajmijmy się nakryciem stołu i usługą. Dalej panicze do roboty! Natychmiast przyniosę wszystko, co potrzeba do nakrycia stołu. (*wychodzi*).

(*Pawełek z Zygmuśkiem wysuwają stół na środek sceny — za chwilę wraca Paulinka, niosąc koszyczek z łyżkami, nożami i widelcami, stawia to na stole — wszyscy biorą się do nakrywania stołu. Piotruś korzystając z zamieszania, wychodzi niespostrzeżenie. Inni wraz z Paulinką wychodzą i przynoszą talerze, chleb,*

wagę z mlekiem, masło, ser i t. d. Cała ta scena odbywa się szybko i wesoło).

PAULINKA. No, stół już nakryty, brakuje tylko krzeseł. (*przystawiają krzesła*). A teraz, kiedy już wszystko gotowe, jedźmy. (*siadają*).

NATALKA. A gdzie Piotruś?

PAULINKA. Piotruś był tu przed chwilą.

PAWEŁEK. Był, ale go nie ma!

ZYGMUŚ. Pewno znów poszedł co zbroić.

TOMCIO. A to skąd boże z tym chłopcem.

PAWEŁEK. Szukajmy go!

PAULINKA. Szukajcie, a ja tymczasem rozdaję mleko i chleb pokraję. (*wszyscy, oprócz Paulinki wychodzą*).

PAWEŁEK (*we drzwiach*) Nie rozdawaj jeszcze mleka — poczekaj, aż wszyscy razem będziemy (*wychodzi*).

PAULINKA. Dobrze. W każdym razie ten Piotruś to jest chłopiec z sercem. On to czyni nie z pustoty, nie ze zbytków, tylko z nadmiaru miłości do wiejskiego gospodarstwa. Jego wszystko zajmuje i wszystko go zachwyca!

NATALKA (*we drzwiach*) Jest Piotruś?

PAULINKA. Nie ma!

NATALKA. Idę dalej! (*wychodzi*).

PAULINKA (*sama*) Ja śmieję się z niego — ale w głębi duszy szanuję go.

ZYGMUŚ (*wchodzi*) Jest Piotruś?

PAULINKA. Jeszcze nie ma?

TOMCIO (*wchodzi*) Jest Piotruś?

PAULINKA. Nie ma!

ZYGMUŚ. Gdzie on się podział?

PAWEŁEK (*wchodzi*) A co, jest Piotruś?

PAULINKA. Nie ma!

PAWEŁEK. Co ten chłopiec wyrabia...

NATALKA (*wchodzi*) Jest, jest Piotruś, nie obawiajcie się o niego!

WSZYSCY. Gdzie jest?

NATALKA. Idzie tu z ogrodnikiem — widziałam go zdaleka.

PAULINKA. A zdrów przynajmniej, cały, nie pokaleczony?

NATALKA. Zdaje się, że zdrów, cały i niepokaleczony.

(Dokończenie nastąpi).



Bo wolności.



W pięknym, bogato urządzonym salonie, naprzeciw gotyckiego okna, na kunsztownie rzeźbionym kominku, wśród mnóstwa kwiecia, stała błyszcząca klatka. Śliczny ten ptasi pałacyk miał i balkoniki, a na nich zawieszano

codziennie nowe roślinki, zwane pospolicie kanarem, które chroniły jej mieszkańca przed zbyt gorącymi promieniami słońca. Wnętrze willi również było śliczne, zamiast bogatego kobierca, piasek drobny, czyściuchny, biały, zaścielał podłogę, pierwsze i drugie piętro tworzyły szczebelki z pięknego utoczonego drzewa, a przysmaki, jak mak słodki, siemię i smaczne owoce, zastawione były na dole w miseczkach porcelanowych. Miejsce wina, po sutych ucztach, mieszkańcom tego wspaniałego domu, zastępowała źródłana woda, porozlewana w kryształowe naczynka stojące na balkonach. Służbę pałacową pełniła śliczna panienka, która dostarczała mu codziennie nowych przysmaków i często własnymi go karmiła usteczkami.

Ten śliczny pałacyk zajmował długo sam

jeden kanarek, przywieziony z daleka, gdzieś z wysp kanaryjskich. Ale gdy właściciele salonu zauważyli, że ich mieszkawiec błyszczącej klatki smutnieje, dodano mu na towarzyszkę, śliczną, młodą małżonkę. Mijały lata, rodzina kanarków rozmnażała się, a pierwszy kanarek postarzał się. W chwili, kiedy zaczynamy nasze opowiadanie, rodzina kanarków składała się: z rodziców, trojga małych dzieci i staruszka dziadzi, wyłysiałego już wówczas ze starości i ociemiałego na jedno oczko. Szczęśliwie, wesoło, płynęło im życie; młode kanareczki piszcząc i trzępiąc skrzydełkami, przeskakiwały z szczebelka na szczebel, przelatowały z balkoniku na balkonik, gonili się, kąpały, bryzgając na siebie kropelkami rosy, a rodzice i dziaduszek patrzyli na nich radośnie i sami jakoś młodzieli. Czasem ojciec uczył śpiewu najstarszego syna, a dwie siostrzyczki to przysłuchiwały się leceki, to zabawiały figielkami dziadzie i tak mijał dzień za dniem, jeden, nie różniąc się od drugiego.

Pewnego poranka, a było to w maju, kiedy cały ogród roztańczający się za ogromnym oknem, wyglądał jak pyszny kobierzec utkany z kwiatów i świeżej zieleni, młody kanareczek siedzący na balkonie drugiego piętra, przypatrywał się szarym wróbelkom, jak z mozołem szukały robaczek i muszek na śniadanie. Śledził ich wzrokiem, gdy uganiały się za upatrzoną muszką i litował się nad nimi, gdy im się zdobyć prawie już z dzióbka wymknęła. Patrzył i patrzył i żał mu się robiło biedaków; pobiegł do dziadzi, który właśnie w gronie reszty rodziny spożywał smaczne śniadanie.

— Dziadziu! — zawołał zdaleka — teraz dopiero przekonałem się jacyśmy szczęśliwi.

— Z czegoż to wnosisz moje dziecko? — zapytał dziaduszek, patrząc ciekawie na wnuka.



Służbę pałacową pełniła śliczna panienka.

— Z czego? Ot popatrz tam do ogrodu, patrz, jak te biedne wróbelki muszą się napracować, nim znajdą jakiego robaczka lub muszkę na śniadanie. Ach, biedne, biedne! I nie tylko, że pracują tak ciężko na utrzymanie swoje, jeszcze same gniazdka budować sobie muszą i spać na dworze, a w nocy tak jest ciemno, że mnie tu w pokoju strach przejmuje; a jeszcze nie raz mówiłeś dziadziu, zimno im dobrze dokuczy. Dziadziu, oni bardzo są biedni, nieprawdaż? Ale oni, pewno nie wiedzą, że mogą być ptaszki od nich szczęśliwsze, im się pewnie nawet nie śni o takich wygodach i dostatkach. O, bo gdyby wiedziały, to musiałyby, bardzo zazdrościć kanarkom.

Dziadzio smutnie potrząsł główką.

— Mylisz się moje dziecko, wróbelki i inne ptaszki są od nas daleko szczęśliwsze.

— Szczęśliwsze? — zaszczebiały młode kanareczki — szczęśliwsze? Ale czyż może kto być szczęśliwszym od nas?

— Biedne moje dzieci — przerwał dziadek — wy nie pojmujecie tego, com powiedział, rodzice wasi nigdy wam o tem nie opowiadali, boście za młode, za małe były, a jednak tak jest rzeczywiście, my to biedni, bardzo biedni jesteśmy.

— Och, powiedz mi dziadziu dlaczego, po-

wiedz — mówił najstarszy kanarek — ja zrozumieć z pewnością.

— Słuchaj więc — zaczął drżącym głosem staruszek — ty nie pojmujesz naszej niedoli, boś nie znał lepszych, szczęśliwszych czasów; urodziłeś się w niewoli, tak, jak i rodzice twoi, dlatego ta paradna klatka, to więzienie nasze, wydaje ci się rajem, dlatego niczego nie pragniesz, o niczem nie marzysz, bo i czegoż jeszcze mógłbyś żądać więcej, przysmaków masz aż do zbytku, wodę jak łązka czystą, mieszkanie bezpieczne od chłodu w nocy i skwarnych promieni słońca w dzień, zabawy z siostrami, miłość rodziców i czegoż mógłbyś chcieć więcej? Swobody nie pragniesz, nie marzysz o niej, boś niewolnik od urodzenia, ojczyznę twoją więzienie, dlatego ci się nie dziwię, że patrząc na szczęśliwe wróbelki, wolne, swobodne, nie pojmujesz ich szczęścia i swobodę i wolność bieda nazywasz, ale ja, moje biedne dziecko, com się wolnym urodził, zazdroścę wróbelkom ich szczęścia i patrzę na nich ze łąz w oku, bo mi przypominają moich wolnych braci i marzę natenczas o ojczyźnie mojej, o latach dziecięcych, szczęśliwych. Ach, żebym raz jeszcze przed śmiercią mógł zobaczyć ziemię moją drogą, moje ukochane drzewa, lasy wonnych akacji! — rzekł i zwiesił smutnie główkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W malutkim społeczeństwie

(obrazek z życia zwierząt).

(Ciąg dalszy).

Tymczasem Wiercipięta poleciał wprost do pszczołowego dziupła. Tu na wstępie przywitała go jego przyjaciółka, która dziś stała na straży. Już wprzód uprzedziła ona swoje towarzyski, co także czuwały u wylotu o odwiedzinach pewnej znakomitej osy, która chciała oglądać budowę wnętrza gniazda, aby skorzystać z wzoru w celu udoskonalenia własnego mieszkania.

— A czy wiedzą o tem starsze pszczoły, czy wie matka? — zapytała druga towarzyska stojąca na straży.

— Nie — odrzekła pierwsza — wiesz, że nasze pszczoły zakłudyły ją na śmierć, a co to komu szkodzi, że osa nauczy się czegoś od nas. Przyznam ci się, że mi bardzo pochlebia ta

myśl, że wróciwszy do siebie, będzie euda opowiadała o naszych porządkach, komórkach, dzieciach.

— Wcale to niepotrzebne — rzekła druga — cały świat zna naszą pracowitość, a osy są złośliwe stworzenia. Gotowe podpatrzeć, co się u nas dzieje, któredy można się dostać, a potem sprowadzą nam cały zastęp swoich współplemiennych próżniaczek i co wtedy będzie?

— O tem ani pomyślałam — szepnęła pszczoła, która wpuściła osę — poradź, co teraz zrobić, aby zapobiedz złemu.

— Nie robić nic takiego na przyszłość, co może własnemu społeczeństwu szkodzić, bez wiedzy rozumniejszych, a teraz pójdz za nią i przekonaj się, co ona robi w głębi ula.

— Kiedy muszę tu stać na straży.

— No, to ja pójde, ale jeżeli ją przyłapię na karygodnym czynie, to jej nie minie kara. — To mówiąc, roztopna pszczoła pobiegła tymi samymi korytarzami, którymi przed chwilą pomknęła osa.

* * *

Od owego dnia minął cały tydzień, gniazdo naprawiono i zabezpieczono od deszczu i wiatrów i dobrze znowu było osom. Minął jeszcze tydzień i z poczwerek wylęgły się doskonale owady. Pracownice nie wiele miały teraz do czynienia, bo osy nie zbierają wcale zapasów na zimę, więc panowała teraz w gnieździe swoboda i używanie. Starą matkę wyčerpaną z pracy i trudów, nie wiele już obchodziły sprawy jej liczego potomstwa i nie dziw, ona tyle pracy wykonała w ciągu tego jednego roku, że należał się jej odpoczynek, dożywała więc w spokoju ostatnich dni swego życia. Dzieci już dorosły, więc same sobie mogły dać rady.

Więc zwykle co rana rozlatywali się mieszkańcy szarej kuli, gdzie kto chciał. Jedni siadali na drzewach i zjadali słodki owoc lub spijali soki, inni polowali, inni zalatywali do mieszkań ludzkich i tam żywili się czem mogli, ale nikt z nich nie myślał o zapasie na zimę. Rzecz dziwna, że nie myślały o tem nawet tak wytrwałe pracownice, jak Iskierka. Strojne oski wylatywały na spacer z eleganckimi kawalerami i zabawiano się wesoło. Wiercipięta, któremu pierwsza wycieczka do pszczołowego ula udała się wybornie, bo i miodu się najadł i z kilkoma innymi niedoświadczonymi pszczołkami wszedł w bliższe stosunki, zaglądał tam coraz częściej. Młody elegant imponował długo skromnym, pracowitym pszczołkom, ale że do czasu tylko zwykle dzban wodę nosi, więc i jemu też nie wiecznie miało się udawać.

Razu jednego, gdy jak to już nieraz bywało, zaleciał do ula i wyjadał smaczny miód, przydarzył mu się straszny wypadek. Oto niektóre pszczoły zauważywszy, że już od jakiegoś czasu, ktoś im podjada miód, złożony na zimę, urządziły zasadzkę. Nadleciał Wiercipięta i nieprzeczuwając nic złego, wcisnął się do wnętrza, aż tu naraz z rozmaitych zakamarków wyskoczyły nań czatujące na napastnika pszczoły. Co się działo, trudno opisać, zaroilo się w ulu i cały rój pszczoł zleciał na biednego Wiercipiętę. Krzyk, hałas, brzęczenie, przeraziły lekkomyślnika. Wyleciał biedaczysko, ale nie zdołał umknąć przed słusznym gniewem pokrzywdzonych pszczoł.

On umykał co sił starczyło, a za nim leciały pszczoły, jedne gryzły go szczękami, inne kłuły żądłem, inne trącały, inne łajały go brzęcząc, a on ledwie przytomny z bólu i strachu dobywał ostatnich sił, aby dolecieć do gniazda.

(C. d. nast.).

Anna Lewicka.

ZAGADKI

ZAGADKA FIGUROWA.

```

0 0 0 0 0 0 0 0 0 0
P R O B O D O G E O D
K O D O D A N
M O N G O W
M A K
N
0 0 0
W A W E D
0 0 0 0 0 0 0
W P E K A A O C
O R O Z K I E W I C E

```

W miejsce zer, wpisać litery, których znaczenie jest następujące:

1. Owoce jadalny.
2. Naczelnik probostwa.
3. Pochwa na strzały.
4. Drzewo amerykańskie, używane na forniery.
5. Kwitnie czerwono w polu.
6. Spółgłoska.
7. Żył podczas potopu.
8. Zamek w Krakowie.
9. Roślina pnąca.
10. Święto uroczyste na wiosnę.
11. Pobił Turków pod Chocimem.

Litery środkowe wszystkich słów, czytane z góry do dołu, dadzą nazwisko poety polskiego.

ZAGADKA GEOGRAFICZNA

w kwadracie magicznym.

ma	ren	ta	Międzymorze.
na	Ma	Na	Rzeka w Dalmacji.
ta	pan	ren	Przyładek grecki.

Rozwiązanie szarady zawartej w nrze 24.:

Warszawa.

Rozwiązania szarady zawartej w numerze 24. nadesłali:

Stefcia Ciesielska, Bronisław i Alfred Kocłowie, Jadwiga, Januś i Zosia Bandrowscy, Staśka Więckowska, Helena Sznyrkiewiczówna, Feliks Flechner, Janina Wilkowska, Zosia Janikowska, Kazia i Wańdzia

Wodzińskie, Wacjo i Jadwisia Mejbaumowie, Zdzisł Żygulski, Ludmiłka Paździerówna, Bronia Engelsteinówna, J. Wilmouth, Halcia i Miecio Pawłowscy, Włodzio Dozorców, Henryk Tazbierski, Emilia Gronziewiczówna, Janek Skowroński, Jadwisia i Stasia z Pruszcza wielkiego, Stanisława Nagelbergówna, Jurek Konarski, Działwa z Gumnisk, Staś Szafarz, Zosia Dolanska, Marya i Eleonora Najkowskie, Witold Masiuk, Tadek Dobrowolski, Zygmunt Atlas, Ludmiłka Paździerówna, Wańdzia Dutkowska, Wandzia Makowska, Józio Grabowski, Wańdzia Musiałówna, Jaga, Hela, Wandzia i Zonia Sawickie, Zosia Lorkiewiczówna, Tadzio Szafranski, Manusia Goldbergówna, Tula Filousówna, Tadzio Habliński, Kazimiera i Wanda Danielówny, Witold Wierchowski, Eugenia Mondscheinówna, Idzia Weintraubówna, Z. Kramarzewska.

Nagrody za rozwiązanie zagadki otrzymali:

Stefcia Ciesielska, Stasia Więckowska, Zosia Janikowska, Marya i Eleonora Najkowskie.

KORESPONDENECYJE REDAKCYI.

Wandzi S. w Oświęcimie. Prenumerata uiszczona jest tylko za I. półroczcie, a więc do końca roku należy się jeszcze 2 złr. 30 ct. Pieniądże na szkołę w Białej otrzymaliśmy.

Jadwisi i Stasi w Pruszcze wielkim. Nie, tym razem nie spóźniłyście się weale.

Jankowi J. w Muszynie. „Mały Świątek“ nie pisuje liścików, odpowiada tylko na nie, bo gdyby pisał pierwszy, to musiałby co numeru wysyłać tysiące korespondencyj.

Heniowi w Zakliczynie. Kiedy tak bardzo tęsknisz za „Świątkiem“, to już on cię pocieszy i wszystkie numery wakacyjne wyszle naraz.

Włodziewi w Bochni. Zagadkę twoją umieścimy w jednym z następnych numerów.

Kazi i Wandzi w Jarosławiu. Ucałowane tak serdecznie przez was paluszki, posyłają wam całuski.

Bronisławowi i Alfredowi w Rzeszowie. A jakże się wam udały orły?

Witoldowi M. we Wiedniu. Tym razem pomylisz się!

Tadziowi D. we Lwowie. Czy ty nie mówisz tak, jak ten lis, co nie mógł dostać winogron i powiedział, że są kwaśne?

Ludmiłce we Lwowie. To twoja menażerya przechodzi rozmaite koleje i musisz z nią mieć nie mało zachodu.

Broni N. w Bortnikach. Na zapytanie twoje odpowiadamy, że masz „Mały Świątek“ zapłacony za I. półroczcie, ale że przysłałaś tylko 2 złr., więc za posyłkę pocztową należy się do I. półroczcia dopłacić 30 ct., a więc do końca roku 1896 należęć się nam będzie 2 złr. 60 ct.

Stasi w Bohorodczanach. Naturalnie że zgoda; już nawet wysłaliśmy.

Wandzi D. w Przemyślu. Czy już uszyłaś sukienkę podług form, którymi tak ucieszyłaś się.

Wandzi w Czehowie. Nie smutno ci na myśl, że wakaeye zbliżają się do końca?

Józiowi w Konieczkach. I cóż, czy kometa uleciała bardzo wysoko?

Wandzi Musiałównej. Ej, czy to nie dosyć było dodatków w nrze 24? I „Świąteczko“ i „Wzory na latawce“ i „Wzory na sukienki“? a ty chciałaś jeszcze więcej!

Jadzi, Hali, Wandzi i Zoni w Zmysłówce. Zapewne, że gdzież cztery pary rączek wzięły się do szycia, tam można było w krótkim czasie uszyć dużo bielizny dla lalek. Ale czy uszyłyście ją ładnie i starannie? Jaga zapytuje co robić, aby piękniej pisać, a „Mały Świątek“ odpowiada: Kto chce, i wytrwale pracuje, ten wszystkiego dokona, chciej więc i ty panienko, a stawiając każdą literkę, staraj się napisać, jak możesz najpiękniej, a wkrótce literki te będą śliczne. — Zagadkę umieścilibyśmy, ale że podajesz wyraz łaciński, więc nie wszyscy czytelnicy, mogliby ją rozwiązać.

Zosi L. w Krakowie. A dla czego pytasz się czy „Syn rybaka“ skończy się prędko? Czy cię nie zajmuje?

Tadziowi w Pobiedziskach. „Mały Świątek“ żałuje was serdecznie, że chorowaliście na oczy, czy teraz już jesteście zdrowi?

Maniusi w Goisern. Za często chciałybyś dostawać nagrody. Czy byłaś już w Ischl, czy tam bardzo ładnie?

Tuli F. w Kołomyi. Chociaż otrzymałaś „Świątek“ o jeden dzień później, rozwiązanie otrzymaliśmy jeszcze w czas.

Janince w Zbydniowie. „Mały Świątek“ wierzy ci, że się bawisz doskonale, bo któżby to na wakaeyach mógł się źle bawić.

Broni w Baligródzie. Początek powiastki wysłaliśmy czy otrzymałaś ją? Czy latawiec lata, czy pełza po ziemi?

Jadwisi w Zborowie. A kto to widział czytać tak szybko? czytać należy powoli, aby to, co się przeczyta utkwilo dobrze w pamięci.

Helence Sz. w Jarosławiu. Bardzo nam miło odnowić starą znajomość, a czy to słusna panna Helena, nie może częściej depisać się do listu młodszej siostrzyczki.

Zosi J. we Lwowie. Spełniło się dziś twoje życzenie.

Sezon letni 1896.

Parasolki do słońca angielskie i francuskie dla pań i dzieci. Najnowsze paski gurtowe, skórkowe, metalowe od 50 ct. do 3 złr. 50 ct. — Rękawiczki dla dzieci nicianne, jedwabne, glacie od 25 ct. Rękawiczki dla pań angielskie po 1 złr. 50 ct. — poleca magazyn

pod firmą

KAUCZYŃSKI i OBERSKI

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 7.

Filia ul. Halicka l. 6.

TREŚĆ: Córka Staremburga, opowieść historyczna z czasów oblężenia Wiednia przez Turków napisał Szeszny Rogala. — Nie uciekaj, wiersz Jadwigi Z. — Troski i pociechy Duńka. — Piotruś, komedyjka wakaeyjna w jednej odsłonie, Bolesławicza. — Do wolności — W malutkiem społeczeństwie, napisała Anna Lewicka. — Zagadki. — Korespondencyje Redakcyi. — W dodatku: „Świąteczko“ i „Syn rybaka“.

Wydawca: **St. Rossowski.**

Redaktorka naczelna: **Anna Lewicka.** Za redakcyę odpowiedzialna: **St. Kossowska.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządkiem Fr. Kattnera.